

ZAMEK

PROLOG

- Babciu a jak powstał świat? - To pytanie tak zaskoczyło siedzącą przy kominku kobietę, że aż podniosła zdumione oczy znad skórzanego kaftana leżącego na jej kolanach. Jej palce cierpliwie tworzące piękny haft zamarły na moment niezdecydowane, lecz po chwili podjęły swój skomplikowany taniec.

- A popatrzcie to na niego. Ledwo się nauczył mówić a już pyta o takie rzeczy. Toć najmędrsi uczeni spierają się o to od niepamiętnych czasów.

- Ale ty wiesz. Jesteś przecież od nich mądrzejsza. - chłopiec nie zraził się pozornie surową wymówką. Być może dostrzegł czułość, której nie była w stanie ukryć w wypowiedzianych słowach.

- No już dobrze ty spryciarzu. Zawsze wiesz jak mnie podejść - odrzekła z uśmiechem na ustach.

- Ale co ja mu opowiem? - Usiłowała przypomnieć sobie jakąś historię, ale czuła w głowie jedynie chaos. Aby zyskać na czasie podeszła do kominka i dorzuciła kilka drewna. W tym czasie chłopiec ułożył się wygodnie na leżu z miękkich skór i choć milczał to widać było jak niecierpliwie oczekuje na odpowiedź.

- Było to bardzo dawno temu. - kobieta wypowiadała słowa dziwnie cicho jakby nie była pewna swoich własnych słów. - Nieprzenikniony zwany też Ojcem Bogów zmęczony kreacją niezliczonych światów, którymi wypełniał Wielką Pustkę, zapadł w sen. A był to sen niezwykle. Przyśnił mu się świat zupełnie inny od pięknych choć martwych światów, które dotychczas stworzył. Bowiem w tym świecie istniały obok siebie Życie i Śmierć. Każdy oddech Życia powodował, że kiełkowało ziarno lub rodziło się zwierzę. A każdy oddech Śmierci obracał wszystko w proch. Przypominało to niekończące się zmagania. W ich trakcie oddech życia stał się częstszy tworząc legiony żywych istot zaludniających morza i lądy. Nowe, coraz to barwniejsze rośliny upiększały doliny i wzgórza barwiąc je nieskończoną gamą kolorów. Niespotykane dotąd zwierzęta poruszały się wśród nich z cudowną gracją i wdziękiem. Barwne ptaki szybowały w podmuchach wiatru wyrażając swą radość śpiewem. Towarzyszyły im roje brzęczących owadów, które z ciekawością zaglądały do środka każdego nawet najmniejszego kwiatka. I nie było w tym świecie miejsca, gdzie nie dotarłoby ożywcze tchnienie Życia. Jednakże jego śladem kroczyła Śmierć. Niestrudzona i niepokonana. Wysługując się palącym słońcem wysuszała żyzne doliny zmieniając je w martwe, choć złote, piaszkowe pustynie. Ulewnymi deszczami splukiwała zbocza gór z żyznej gleby tak długo póki nie stawały się całkiem nagie i jałowe, choć piękne w swej nagiej wyniosłości. Wykorzystując mróz zamieniała rzeki i jeziora w srebrne tafle będące grobem dla ryb i ptaków wodnych. Jednym swym spojrzeniem strącała ptaka w locie lub powalała największe zwierzę. Dotykała wszystkiego co żyje i nie było tam miejsca, gdzie by nie dotarła. I obserwował Nieprzenikniony grę Życia i Śmierci z takim zafascynowaniem, że zapragnął przeniknąć do tego świata. I spostrzegł, że jego wola się staje. Był przecież Bogiem i nic nie było dla niego niemożliwe. Lecz jak miałby istnieć w swoim własnym śnie? Co by się z nim stało gdy sen się skończył? Sprzeczności te zachwiały na moment jego boską mocą przerywając jego własne narodziny we śnie. To co zaczęło się tworzyć rozprysło się nagle jak kropla deszczu. I z tych maleńkich odprysków zrodzili się nasi Bogowie. Dobrzy, źli lub neutralni. Praworządni lub skażeni chaosem w zależności od tego, jakie przymioty Nieprzeniknionego zawierały. A kilka najdrobniejszych kropelek, tak drobnych, że zawierały tylko ślady jego przymiotów, spadło na nasz świat. Te co dotknęły lasów stworzyły ród pięknych elfów. Te poniesione wiatrem na stepy zrodziły ludzi miłujących wolność. Te, które dosięgły gór zapoczątkowały ród dzielnych krasnoludów. Niektóre zaś spadły na zwierzęta dając początek trollom, ogrom i goblinom, które kiedyś nie były tak niegodziwe jak dziś. W podobny sposób powstały i inne rasy i stworzenia, które zamieszkują nasz świat. I choć świat ten się zmienił to pokochał go Nieprzenikniony. Ostatecznie zawierał teraz jego część. Lecz na obrzeżach każdego snu, nawet snu Boga, czai się coś złego. W tym śnie a więc w naszym świecie są to demony zrodzone ze zła i chaosu gdzieś poza świadomością Nieprzeniknionego. Ich przybycie może zakłócić sen Ojca Bogów, który nie chcąc śnić koszmaru

zbudzi się a wtedy cały świat razem z bogami zniknie wraz z jego snem. Aby do tego nie dopuścić Bogowie powołali herosów - mężnych i prawych Paladynów o czystych sercach, czy też Czarnych Rycerzy niezwycięzonych w swym okrucieństwie oraz Druidów, którzy mocą swej neutralności zachowują równowagę między dobrem i złem. Dali im też prawo władania bronią, w której zaklęto niezbadane moce. Samo jej dotknięcie sprowadza śmierć na niegodziwca, który chciałby ją posiadać. Lecz potęga tych stworów przybyłych z niezbadanych czeluści zła i chaosu jest tak wielka, że nie giną od zadanych nią ran. Jednak osłabione wracają do swych mrocznych siedzib, gdzie ponownie gromadzą siły do kolejnego ataku. Trwa to czasem długie stulecia. Bogowie, którzy potrafią czytać pajęczynę przeznaczenia wybierają wtedy grupkę wojowników mających walczyć w obronie świata, przeciwstawiając się złu zniszczenia przynoszonemu przez demony. Jednakże robią to tak, że nawet sami wybrańcy o tym nie wiedzą.

- Ja też obronię świat jak będę już duży - sennym głosem odezwał się chłopiec.

- Na pewno. Na pewno mój mały - głos kobiety był dziwnie zamyślony a jej dłoń nieświadomie gładziła płową czuprynę malca.

- Skąd ja znam tę historię? Nikt mi jej nigdy nie opowiadał - i zadumana patrzyła w dogasający żar kominka.

ROZDZIAŁ I

Płowopióry orzeł rozpostarł swe piękne, mocne skrzydła, łagodnie poddając się podmuchom wiosennego wiatru. Z pozoru unosił się bezwiednie jak puszek dmuchawca zdanego na łaskę powietrznych wirów. Uważny obserwator dostrzegłby jednak pewną, choć trudną do określenia, celowość w sposobie krążenia nad tym dzikim, górskim lasem. Ten piękny ptak, kreśląc na tle nieba koła i spirale, dokonując nagłych zwrotów, poruszał się w rzeczywistości wzdłuż ścieżki wydeptanej przez zwierzynę. Na podobieństwo zwiadowcy badał ją swoim przenikliwym wzrokiem. Nic nie mogło ująć jego uwadze. Lecz, co dziwne, ignorował zupełnie smakowite kaski, które nieświadome niebezpieczeństwa pełzały lub kicały w pierwszych tej wiosny promieniach słońca. Choć może niezupełnie. W pewnej chwili, bez najmniejszego ostrzeżenia, jego beztrioskie szybowanie zamieniło się w lot pocisku zdążającego nieuchronnie do celu. Trwało to jednak krótką chwilę i przypominało ukradkowy gest małego łakomczucha, który na widok karcącego wzroku matki, udaje, że sięgał po co innego. Ptak, kilkoma wspaniałymi uderzeniami skrzydeł, wyrównał lot i jakby nic się nie stało, poszybował w tylko sobie znanym kierunku. W ślad za orłem podążało kilku zbrojnych, prowadząc za uzdy objuczone wierzchowce. Właśnie pokonywali stromy, rozmiękły po całonocnej ulewie, kamienisty stok. Z daleka przypominali dzieci uwielbiające babrać się w błotku. Co chwila, któryś z nich, wykonując śmieszne łamańce, przewracał się i zjeżdżał kilka metrów w dół, by po chwili zacząć przedstawienie od nowa. Ale słownictwo, które w tym momencie używali, wcale nie przypominało słodkiej dziecięcej mowy. W końcu wszyscy wygramolili się na górę i jak jeden mąż legli ciężko obok koni. Te jednak, jakby z odczuciem wstrętu na widok nieprzyzwoicie brudnych jeźdźców, oddaliły się niespiesznie by szczypać młodą, soczystą trawę. Pierwszy podniósł się Paladyn. Jako dowódca czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo tych młodych awanturników. Zaś jako rycerzowi nie wypadało mu jawnie okazywać zmęczenia. Rozejrzał się uważnie dokoła i widocznie uznając, że wszystko jest tak jak powinno być, skierował swój wzrok na szybującego w oddali orła. Zdjąwszy zabłoconą rękawicę, osłonił oczy przed promieniami słońca odbitymi od śnieżnobiałych turni i przez chwilę obserwował jego lot.

- Chyba właśnie wraca - nic w jego głosie nie wskazywało na niedawny wysiłek. - Może się czegoś dowiemy - dodał ni to twierdząco ni pytająco. Po czym podszedł do koni i zaczął odwiązywać jeden z przykulbaczonych do siodła worów podróżnych.

Po kilku minutach, zgrabnie szybując, orzeł wylądował na łęku siodła po czym sfrunął na ziemię. I wtedy stało się coś dziwnego. Wokół ptaka powietrze jakby zgęstniało i zmatowiało. A

gdy powróciła jego przejrzystość, ukazała się tam rosła postać całkiem nagiego, jasnowłosego elfa. Pozostali członkowie grupy byli jednak zbyt zmęczeni by podziwiać tę dziwną przemianę.

- Oto twoje odzienie. Jest całkiem czyste i suche - rzekł Paladyn.- Ale nie trzymaj nas w niepewność i opowiedz co widziałeś.

- No cóż, celu naszej wędrówki nie widać, ale niedaleko jest polana ze źródłem - odpowiedział Druid, wciągając kaftan. - Myślę, że jest to świetne miejsce na rozbicie obozowiska. Pora byśmy odpoczęli i się posilili. Możecie się też umyć, bo chyba na wasz widok wszystkie trolle pouciekały. Nie widziałem bowiem żadnego.

- No to masz szczęście, bo ze strachu byś zapomniał jak się lata i spadł mu prosto w paszczę odparował bez namysłu czarodziej Ingram, który nie przepuścił najmniejszej okazji aby z kogoś zażartować.

- Wszyscy na koń. Ruszamy - Paladyn czujnie przerwał wiszącą w powietrzu kłótnię. Są zmęczeni i zniechęceni - pomyślał. - Włóczyliśmy się już tydzień po tych górach a tajemniczego zamku ani śladu. Ale przecież Gwindryl nie kłamał twierdząc, że dziwna budowla pojawiła się w sercu tych gór. Nie, on nawet nie umiałby kłamać. Był przecież tak prostolinijny i szczerzy jak tylko potrafią być istoty chowane przez naturę. A ten troll wychowywał się z dala od swoich cieszących się ponurą sławą współziomków, odrzucony przez nich z powodu swej całkiem białej skóry i kontrastujących z nimi czerwonych oczu. Zamieszkał samotnie w skalnej grocie, gdzie zajął się kowalstwem. I służył każdemu w potrzebie nie żądając w zamian nic oprócz opowiedzenia jakiejś zagadki. Była to jego prawdziwa pasja. W dodatku nasze przypadkowe spotkanie chyba przypadło mu do gustu, gdyż wyraźnie posmutniał słysząc, że muszą go opuścić. Na pocieszenie zadali mu jeszcze jedną zagadkę. A znał ich całe mnóstwo, gdyż jak twierdził, układanie i rozwiązywanie zagadek jest najlepszym lekarstwem na nudę samotności. Ten zamek musi istnieć - kontynuował rozmyślenia Paladyn jednocześnie bacznie obserwując wąską, leśną ścieżkę. - Przecież, słuchając nieskładnego języka tego starego trolla coś we mnie się odezwało, jakby jakiś wewnętrzny głos, każący natychmiast wyruszyć i zbadać tę dziwną budowlę, która jakby znikąd pojawiła się na szczycie góry. Może posiadam ten rodzaj intuicji pozwalający rycerzom mojej profesji bezbłędnie odnajdywać drogę do rodzącego się zła lub tam, gdzie ktoś potrzebuje pomocy. A może jest to sygnał od mojej bogini Arianny?

- Oto nasza polana - rozmyślenia Paladyna przerwał głośniejszy okrzyk Druida. Miejsce naprawdę wyglądało uroczo. Była to duża, płaska przestrzeń, porośnięta trawą i drobnym żółtym kwieciami o silnej i przyjemnej woni. Roje owadów i barwnych motyli spłoszonych przybyciem nieznanych im do tej pory intruzów z wdziękiem unosiły się w powietrzu. Z trzech stron porastał gęsty las, zaś czwarta otwarta była na wspaniałą panoramę niebotycznych lodowych turni i mniejszych szczytów przystrojonych skrzącymi się w słońcu śnieżnymi czapami. Podjechali do krawędzi polany i spojrzeli w dół. Dość strome zbocze ginęło w białym тумanie mgły wypełniającej przepaść. Dobiegał z tamtąd groźny szum rzeki wezbranej po ostatnim deszczu.

- Zostaniemy tu do następnego dnia. - zarządził Paladyn - Wyruszamy jutro o świcie. Potrzebny ochotnik na pierwszą wartę.

Nie minęła godzina, gdy polana zmieniła swój wygląd. Pod lasem stał kolorowy rycerski namiot. Na środku pasły się spętane konie zaś między drzewami na skraju lasu suszyły się przemoczone ubrania. Paladyn i drugi rycerz o trochę ponurym spojrzeniu i tak potężnej posturze, że z trudem niósł go na siodle potężny rumak, cierpliwie wydłubywali błoto z zakamarków swoich pancerzy. Pozostali, oprócz Druida pełniącego wartę, wyciągnęli się w słońcu na miękkiej murawie i powoli morzył ich sen. Niebawem zbroje zostały oczyszczone i naoliwione, przestając wydawać zgrzytliwe jęki protestu przy każdym ruchu. Dwaj rycerze dołączyli po chwili do chóru chrapiących towarzyszy. Druid podszedł do przygasającego ognia i dorzuciwszy kilka gałązek przysiadł wpatrując się w ogień. Rozmyślał o cudownych uczuciach jakich niedawno doznał przemieniając się pierwszy raz w orla. Jego stężale od zmęczenia mięśnie powoli rozluźniały się a szum potoku

przypominał mu szum wiatru w orlich piórach. Gdy na chwilę przymrużył oczy wydawało mu się, że znów unosi się jakby całkiem nieważki nad tymi urokliwymi szczytami, nieskrępowany przyciąganiem ziemi. Ciepło ogniska było zaś jak blask słońca grzejący jego orli grzbiet hen wysoko w górze. I siedział tak zamyślony a słońce nie chcąc przeszkadzać w tej sielance dyskretnie chowało się właśnie za srebrzysto-białą turnię.

ROZDZIAŁ II

Gdy pierwszy promień słońca wychylającego się nieśmiało zza stromego szczytu padł na las, rozległ się tam niesamowity, choć melodyjny harmider z tysięcy ptasich gardeł. Podkreśliła go jeszcze panująca poprzednio cisza, jaką można spotkać tylko w dzikich, niedostępnych stronach. Przycichł nawet szumiący potok, jakby wstydząc się, że zakłóca spokój tego zakątka. Było coś magicznego w nastroju i ciszy tego miejsca. Takie chwile przypominają ten jeden moment przed decydującym o losach świata boju, gdy stojącym przeciw sobie żołnierzom wrogich armii zamiera serce na widok wznoszącej się w górę buławy króla a tysiące oczu patrzy na nią tak usilnie, jakby chciało powstrzymać wyrok, który los wydał na nich w nadchodzącej bitwie. Pełniący ostatnią wartę czarnowłose półelf z domieszką krwi orków i dźwięcznym imieniu Alendil podszedł do namiotu z zamiarem obudzenia towarzyszy, ale okazało się to zbędne. Zbudzeni ptasimi trelami, wychodzili przecierając zaspane oczy. Noc na szczęście minęła spokojnie i nic nie przerwało tak potrzebnego im odpoczynku. Wkrótce pełni nowych sił włożyli z przyjemnością suche odzienie i zaczęli sprawnie zwijać namiot oraz szykować posiłek. Słońce niewiele tylko wzniosło się na błękitnym bezchmurnym niebie, gdy wyruszyli w drogę. Po lekkim nocnym przymrozku pozostał tylko szron nadający gałązkom drzew baśniowy wygląd. Posuwali się powoli cieniastym lasem, wzdłuż głębokiego kanionu, mając w uszach przytłumiony szum potoku. Przez korony drzew obserwowali wędrujące w górę słońce. Około południa wyszli nagle z lasu. Przed nimi rozciągały się majestatyczne, groźne w swym ogromie, skaliste turnie ubrane w śnieżne czapy. Kanion stał się tak głęboki, że nie docierał już do nich odgłos rzeki. I gdy tak stali, mrużąc oczy przed blaskiem skrzących się w słońcu śniegów, ujrzeni nagle widok, który wprawił ich w zdumienie i zachwyt. Zalegająca nad jednym z niższych szczytów mgła, nagle rozwinęła się, jakby do tej pory tkwiła tam czekając na odpowiednich widzów. Ukazał się z pod niej cudowny zamek. Zbudowane z czarnego kamienia mury i niezliczone, wyrastające jedne z drugich strzeliste wieżyczki sprawiały wrażenie czegoś nierealnego. Kamień przypominał wypolerowany idealnie marmur, połyskujący teraz w słońcu i kontrastujący z niebiesko-białym tłem lodowca spływającego z odległych szczytów. Zamek choć ogromny sprawiał wrażenie lekkości. Podkreślał to jeszcze most rozpięty nad kanionem, widoczny z tej odległości jako napięta lina spinająca oba jego brzegi. Na końcach mostu stały na straży, zwrócone do siebie głowami dwa ogromne, czarne, kamienne smoki.

- Czy to nie za tym cudem architektury ciągałeś nas Paladynie po tych bezdrożach - odezwał się Ingram lekko kpiącym tonem. Na dźwięk jego słów wszyscy drgnęli, jakby przebudzeni ze snu.

- Myślę, że dotarliśmy do celu.- odpowiedział Paladyn- No, nie stójcie jak posągi. Obejrzyjmy to sobie z bliska. Ale zachowajmy maksymalną ostrożność. Jest coś nierealnego i niepokojącego w tej dziwnej budowli. Przecież nikt nie buduje zamków w sercu gór z dala od jakichkolwiek szlaków. Chyba, że coś knuje. Ustaliwszy szyk, posuwali się ostrożnie w kierunku najbliższego smoka. Nagle jadący z przodu Druid zsiadł z konia i badał coś na ziemi. Wszyscy zatrzymali się pełni oczekiwania.

- Ktoś tu jechał przed nami, ale ślady są rozmyte deszczem - rzekł przyciszonym głosem Druid. - Może zmienię się w orła i obejrzę wszystko z bliska – dodał.

- Niezła myśl - odpowiedział Paladyn - My tym czasem podejdziemy bliżej. Już po chwili widać było sylwetkę orła krążącego najpierw nad mostem a później nad zamkiem. Na pewien czas zniknął z obserwujących go z zapiętym tchem oczu, przesłonięty bryłą zamku, ale po pełnej napięcia chwili wynurzył się nagle z drugiej jego strony. Gdy wylądował, wszyscy otoczyli go czekając na wieści.

- Na moście, mniej więcej w połowie jest dziwny krwawy ślad. Most jest wąski i przypomina rynnę. Posąg smoka po drugiej stronie kanionu opiera swą łapę na niewidocznej stąd kamiennej, ogromnej kuli. Za mostem, ale przed murem zamku jest kilkanaście metrów wolnej przestrzeni. Leży tam olbrzymi wąż ze złotą koroną na głowie. Trudno określić czy jest żywy czy kamienny. Zanim zaś znajduje się brama. Jest ogromna i wykonana z metalu. Za nią zaś jest niewielki dziedziniec. Są tam drzwi prowadzące chyba do wnętrza zamku. Innych drzwi ani okien niestety nie ma. Nie dostrzegłem też żadnej żywej istoty. Druid wypowiedział to wszystko jednym tchem. Milczeli analizując znaczenie tych informacji. Po dłuższej chwili odezwał się Paladyn:

- Podjedźmy bliżej i obejrzyjmy tego smoka. Ruszyli za nim bez słowa za to ich serca biły w przyspieszonym rytmie. Z bliska posąg wyglądał imponująco. Miał około dziesięciu metrów wysokości i trzydziestu długości. Trzy potężne, szponiaste łapy mocno opierały się na ziemi. Czwarta była lekko uniesiona. W dotyku kamień posągu był zimny i gładki. Jednak Czarodziej, który go dotknął krzyknął zdumiony.

- Słuchajcie, to jest niesamowicie naładowane magią. Czyżby był to zaklęty strażnik tego mostu? Może to on jest odpowiedzialny za krew o której wspomniał Druid. Nieraz słyszałem w karczmach opowieści o posągach, które nagle ożywały.

- Może te smoki bawią się w przetaczanie kamiennej kuli po tej rynnice - nagle odezwał się Rycerz, który oglądał szeroką ledwo na półtora metra, wgłębioną pośrodku kładkę mostu. Kończyła się ona na wysokości uniesionej łapy smoka. - Coś jak zabawa w zbijaka. Kto nie uskoczy przed piłką odpada z gry.

-Chciałeś powiedzieć w zabijaka, bo tu można uskoczyć tylko w przepaść albo dać zrobić z siebie naleśnik- odrzekł Ingram.

- Fantazji to wam nie brakuje, ale sprawdzę to doświadczalnie - zaoferował Alendil. Po czym odłożył łuk, odpiął kołczan i zdobny skórzany pas z przypiętym krótkim mieczem i sztyletem oraz sakiewką. Niczym już nie obciążony wszedł na wąską kamienną kładkę.

- Wstrzymaj się na chwilę Alendilu. Zgodnie z przyjętymi zwyczajami zaanonsujmy nasze przybycie. Nie jesteśmy przecież złodziejami i rabusiami, którzy skradają się podstępnie. - To mówiąc wyciągnął krótki róg i przycisnął go do ust. Rozległ się niski, chrapliwy dźwięk a jego echo po wielokroć wracało do ich uszu. Ale od strony zamku nie dobiegł żaden odzew mimo, że zamienili się dosłownie w słuch.

- Zamek wygląda na opuszczony - zauważył Druid.

Być może zamek jest opuszczony. Ale kto dobrowolnie opuszcza piękną siedzibę? Z tego co opowiadał nam troll albinos wiemy, że zamek pojawił się nagle, jakby go ktoś wyczarował - Paladyn jakoś mimowolnie ściszył głos. - Nie pojawił się więc bez celu. Wszystko to jest bardzo tajemnicze. Może wydarzyła się tu jakaś tragedia albo jest to przyczółek zła, które tu obrało swą siedzibę. Myślę, że wyjaśnienie tego jest zadaniem godnym naszej drużyny. A skoro gospodarz nie chce nam w tym pomóc to obejdziemy się bez jego przyzwolenia. Paladyn popatrzył na współtowarzyszy i widząc zachętę w ich oczach dodał - zbadaj most Alendilu. Elfa nie trzeba było zachęcać. Ostrożnie, krok za krokiem przesuwał się po moście. Wzrok utkwiał w słabo widocznej z tej odległości kamiennej kuli po przeciwległej stronie kanionu. Zrobił krok, drugi, trzeci. Nic. Mimo to serce biło mu dziwnie głośno a krew pulsowała w skroniach. Nieco śmielej zrobił kilka dalszych kroków. Nic. Zaczął iść normalnym rytmem. Przeszedł pierwsze kilkanaście metrów. Nic. Następne kilkanaście. Nic. Serce nieco przycichło. Spojrzał nieznacznie w bok, ale głębokość kanionu była tak niesamowita, że poczuł lekki zawrót głowy. Spojrzał znów na kulę. I w tej właśnie chwili swoim wspaniałym, elfim wzrokiem dostrzegł jak ruszyła ona w jego kierunku z chyżością błyskawicy, pchnięta łapą posągu smoka. Nim zdążył pomyśleć, jego nogi same wykonały zwrot i zaczęły przebierać z taką szybkością, jakby każda z osobna chciała wyprzedzić drugą. Mimo to huk toczącej się wielotonowej śmierci był coraz bliżej. Drgania kładki utrudniały utrzymanie równowagi. Był tak skupiony tym co robi, że nie słyszał wystraszonych okrzyków towarzyszy. W

ostatnim momencie, gdy widział w wyobraźni swoje miażdżone ciało, skoczył w bok i... wylądował cało na skraju kanionu. Czyjeś ręce podniosły go na nogi. Zdażył jeszcze zauważyć jak smocza łapa odbija kulę, która zaczyna toczyć się w przeciwną stronę. Po czym zemdlał. Mimo, że wszyscy spodziewali się jakiejś reakcji smoczych strażników to jednak byli wyraźnie zszokowani. Nie co dzień widuje się kamiennego kolosa, który nie dość, że się rusza co już jest trudne do zaakceptowania, ale na dodatek bez wysiłku a nawet z pewną gracją, popycha wielotonową kulę jakby to była dziecięca piłka. Wszyscy, łącznie z Alendilem, dość szybko ochłonęli i poczęli szukać sposobu na unieruchomienie kuli. Próby uszkodzenia łapy kamiennego smoka skończyły się złamaniem użytego w tym celu młota. Podkopanie posągu też się nie powiodło. Pod cienką warstwą ziemi była lita skała. A kiedy wspólnym wysiłkiem przytargali spoceni kilka sporych kamieni i ułożyli z tego piramidkę na moście to okazało się, że kula co prawda podskoczyła, ale nawet na milimetr nie zboczyła ze swego toru. Z piramidki zaś została żałosna kupka żwiru.

- W tym zamku musi się gnieździć Zło bo Dobro nie zamyka się w niedostępnych, bronionych magią twierdzach - zawyrokował Paladyn.

- Może ktoś ukrył tam potężny skarb - zauważył Chivos.

- Albo harem pięknych elfich panien - dodał rozmarzonym głosem Alendil.

- Zamiast w ich objęciach będziecie spać z pustymi brzuchami i na gołej ziemi, jeśli do zmroku nie rozłożymy obozu - przerwał im brutalnie Druid. Rażno zabrali się do roboty. Słońce kończyło właśnie codzienny obchód nieba, gdy przed namiotem zapłonęło ognisko. Niebawem zapadła ciemna bezksiężycowa noc. Stojący na warcie Chivas, jak przystało na krasnoluda, miał zdolność widzenia w takich warunkach. Właśnie obchodził kamienny posąg, gdy przypadkiem spojrzał w górę i aż zatrzymał się zdziwiony. Ślepie smoka fosforyzowały w ciemności. Mogło to oznaczać tylko jedno. Magia, której tu użyto, pozwalała posągom "widzieć" żywe istoty na moście i popychać w odpowiednim momencie kamienną kulę.

- Budzić ich już teraz, czy czekać do świtu - zaczął się zastanawiać.

Ale już po chwili z namiotu dobiegać poczęły głosy protestu i przekleństwa. Za moment małe w porównaniu ze smokiem figurki zaroily się wokół posągu wpatrując się zachłannie w jego kamienne, świecące zimnym blaskiem oczy.

- I tak musimy poczekać do brzasku bo w tej ciemnicy jeszcze kto kark skręci - zarządził Paladyn.

Jednak tej nocy nikt już nie zmrużył oka.

ROZDZIAŁ III

Słońce, które jak co dnia postanowiło wspiąć się wyżej na nieboskłon aby mieć lepszy widok na ten urokliwy świat, wyrzało właśnie zza poszarpanej skalistej turni i ujrzało niecodzienny widok. Karawana zwierząt i ludzi, podobna do szeregu mrówek wędrujących po cieniutkiej nitce, posuwała się krok za krokiem po moście nad przepastnym kanionem. Złote oko słońca dostrzegło hen na jego dnie bielejące kości wierzchowca i jego pana. Czarni padlinożercy wylatywali ze swych nor i gromadzili się w ich pobliżu, jakby na coś czekali. Ale tym razem żaden łakomy kąsek nie spadł im z nieba. Skrzeczeli więc rozczarowani dziobiąc się nawzajem.

Karawana doszła właśnie do drugiego posągu smoka. Okazał się on identyczny jak ten stojący teraz po drugiej stronie. Jednak tamten miał teraz zaimprovizowaną z czyichś gatek opaskę na oczach. Przy jego łapie spoczywała martwo kamienna kula. Ale nikt z drużyny nie oglądał się za siebie. Zafascynowani patrzyli na mocarną, spiżową bramę wkomponowaną w wysoki kamienny mur. Wyrity był na niej wizerunek smoka. Jakiemuś nieznanemu artyście udało się uchwycić grację i prawdziwie królewską dumę tego gada. Przed bramą stróżował wąż. Jego grube jak zad wołu cielsko zwinięte było w sploty, tworząc kształt piramidy zwieńczonej trójkątnym, potężnym

łbem przystrojoną diamentową koroną. Jej złote wypustki rzucały wokół świetliste odbłaski. Na widok tak groźnego strażnika zatrzymali się w bezpiecznej odległości.

- Tan Can obwieszcza przybycie swoje i towarzyszy oraz prosi o otwarcie bramy. - tubalnym głosem zaanonsował się Paladyn. Niestety nikt nie odpowiedział a brama ani drgnęła. Dla formalności powtórzył to jeszcze raz, ale bez rezultatu.

- Utwierdzam się w przekonaniu, że ci którzy tu mieszkają nie mają czystych sumień, gdyż nie chowaliby się za tyloma zabezpieczeniami. - głos Paladyna był głośny i wyraźny. - Żądam otworzenia bramy.

- ...amy ...amy ...amy - przedrzeźniało go echo.

- Chyba rzeczywiście nikt tu nie mieszka. Podejdźmy do bramy i przyjrzyjmy się temu gadowi. Jest zbyt realistyczny jak na posąg i coś mi mówi, że nie jest tu dla ozdoby.

- Ale za to jaki milusi - zażartował Ingram.

- Zaraz się przekonamy - odrzekł Paladyn.

Ściskając w spoconych rękach broń podchodzili ostrożnie w kierunku bramy i węża. Ten zaś wcale nie sprawiał wrażenia, że zaraz ożyje. Idący nieco z przodu Rycerz wyciągniętym mieczem próbował dotknąć gada.

- To jednak posągi a nieeee... - Rycerz nie dokończył zdania. Atak nastąpił tak niespodziewanie, że początkowo nikt nie zorientował się co się zdarzyło. Łeb węża wystrzelił jak z katapulty. Jego ostre kły wczepiły się w żelazo pancerza. Potężne cielsko błyskawicznie opłotło go całego z zamiarem zgniecenia. Na szczęście dla siebie nosił ciężką, płytową zbroję. I choć wąż ścisnął go z siłą imadła to metal nie poddawał się. Gad zaciskał swe spłoty z coraz mocniej. Zaczęły strzelać nity. Jednak Paladyn, Chivas i Druid rąbali już węża z dziką zawziętością. Stojący nieco z tyłu Alendil szył z łuku zaś czarodziej Ingram wypuszczał z rąk ogniste pociski. Ohydna, trójkątna głowa spadła niebawem na murawę plugawiąc ją wstrętną posoką. Drgające spłoty zsunęły się w konwulsjach z Rycerza, który usiłował podnieść się, niezgrabnie przebierając zdrętwiałymi od potwornego ucisku kończynami.

- Dzięki za sprawną akcję. Gdybyście się nie pośpieszyli to rozgniółłby mnie jak komara. - Rycerz skłonił się i zasalutował mieczem. - Moja wspaniała zbroja ledwo to wytrzymała. Jej naprawa pochłonie majątek - dodał patrząc smętnie na liczne wgniecenia. - Mimo to nie żałuję wydaną na nią złotą. Ta gadzina miała tyle krzepy, że każdy inny pancerz zgniotłaby jak suchy liść. Rycerz podniósł wzrok i z podziwem przyglądał się potężnemu cielsku, przez które przebiegały przedśmiertne drgawki.

- Zrzućmy gada w przepaść bo jego zapach płoszy konie - zaproponował Druid.

- Ale wpierw zdejmijmy tę błyskotkę - dodał Chivas wskazując na koronę. Wspólnym wysiłkiem zaciągali dziwnie ciężkie ciało węża na skraj kanionu i z odczuciem ulgi zepchnęli go w przepaść. Z trzaskiem łamanych krzaków, odbijając się od wystających skał, cielsko wylądowało z głuchym łomotem i chrzęstem żwiru na skraju potoku. Momentalnie przykrył je czarny, skrzeczący ptasi dywan. Ale tym razem padlinożercy nie nasycili swych przepastnych trzewi. Jędrne i soczyste mięso węża znikło nagle pozostawiając po sobie jedynie wysuszoną i pomarszczoną jak u trupa skórę. Wściekle uderzenia setek dziobów przemieniły ją momentalnie w proch. Ptaki, równie nagle jak się pojawiły, tak i znikły w swoich kryjówkach rozczarowane łupem. I tylko czarną kupkę dziwnego prochu rozwiewał powoli wiatr. Nieświadomi niczego awanturnicy oglądali w tym czasie swój pierwszy łup.

- Dajcie i mnie popatrzeć - Druid usiłował dopchać się do zdobytego z niemałym trudem skarbu. - Wkrótce i on wpatrywał się w złoto i diament tworzące prawdziwe dzieło sztuki. A było co podziwiać. Szczególnie, gdy promienie słońca wzbudzały kaskady lśniących tęcz w diamentowej obręczy. Wystawały z niej złote blaszki wycięte na podobieństwo klonowych liści. Jego blask

wywoływał zawrót głowy.

- Ciekawe jaka może być jej wartość?

- Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej roboty. - Jeden po drugim wyrażali swoje opinie podając sobie zdobycz z rąk do rąk. Słuchajcie - wykrzyknął nagle Alendil, tknięty nagłą myślą - ile bogactw

musi się kryć w środku, jeśli strażnicy noszą tak drogocenne klejnoty!

- Pewnie mamy za mało sakw by to wszystko pomieścić - kpiącym tonem odpowiedział Ingram.

- Ale aby się do tych skarbów dostać, trzeba pierwszej otworzyć te wrota - Paladyn zgrabnie odwrócił uwagę towarzyszy od mącących umysł bogactw. Sam ledwo rzucił okiem na korony. Złoto i drogocenności traktował zwykle z chłodną rezerwą. Tak też postąpił i tym razem. Jednak obserwował uważnie towarzyszy. Zdawał sobie bowiem dobrze sprawę z niebezpieczeństwa wybuchu kłótni o podział zdobytego skarbu. Kilkakrotnie przecież dokładał komuś

niezadowolonemu część swojego udziału, aby nie dopuścić do waśni osłabiających morale drużyny.

- Schowajmy korony do sakw i obejrzyjmy te wrota - rozkazał władczym tonem. Posłuchali go bez zbędnych sprzeciwów. Alendila zainteresował smok wyryty na bramie. Mając wrodzone elfom poczucie estetyki zachwycił się finezją rytu. Opuszki jego palców bezwiednie przesuwwały się po rowkach tworzących wzór smoka. W miejscu, gdzie linie tworzyły zarys gadziego oka wyczuł jakąś chropowatość. Przyjrzał się temu miejscu uważniej. Była tam szpara tak umieszczona, że zdawała się częścią rysunku.

- Słuchajcie! Coś odkryłem - wykrzyknął z podnieceniem. - O tu, widzicie?

- Gdzie? Nic nie widzę - denerwował się ktoś z tyłu.

- Może to dziurka od klucza. Spróbujmy włożyć tam sztylet - zaproponował ktoś inny.

- Nic z tego. Szpara jest zbyt wąska - odrzekł Alendil z wyraźnym rozczarowaniem. - Spróbujmy czegoś innego. Lecz mimo, że uważnie przeszukali swoje sakwy to nie znaleźli nic co dałoby się wepchnąć w szparę. Zapadła deprymująca cisza. Rycerz, który od dłuższego czasu stał nieco z tyłu ze zmarszczonym czołem i nieobecny wzrokiem, nagle podszedł do koni i wyjął koronę. Następnie przybliżył się do bramy i trzymając cenny łup przed oczyma spoglądał uważnie to na szparę to na koronę.

- Na mój rozum nasady listków mają ten sam rozmiar co szpara - rzekł z namysłem.

- A czy "zakute łby" mają rozum - zażartował Ingram, nie wiadomo czy mając na myśli przysłowiową małą inteligencję półolbrzymów czy równie przysłowiową co nieprawdziwą głupotę rycerstwa.

- Możemy to łatwo sprawdzić - odparł Paladyn, biorąc koronę w swe ręce i usiłując wyjąć złoty listek z diamentowej obręczy.

- Zamiast sprawdzać czy ktoś ma rozum sami ruszcie głową bo nigdy nie dowiemy się co kryje w sobie ten zamek - zirytowanym głosem odezwał się Druid wyraźnie nie zrozumiawszy o czym mówił Paladyn.

- Do wszystkich Ogrów! - Paladyn cedził słowa przez zaciśnięte z wysiłku zęby. - Tego nie da się wyjąć.

Może ja spróbuję - zaproponował Druid chcąc odwrócić uwagę od swego niefortunnego wystąpienia. Wziął koronę w ręce i uważnie ją oglądał. W miarę jak to czynił jego skupiona twarz przybrała najpierw wyraz zdziwienia a później niedowierzania. - Słuchajcie tych listków nie można wyjąć w całości bez zniszczenia obręczy - mówił sam nie przekonany o słuszności swoich słów - a to z tego powodu, iż są szersze na końcach zatopionych w diamentach. Sens słów nie od razu dotarł

do pozostałych. Ale gdy to się stało, zaczęli głośno protestować podważając wiarygodność opinii. Najbardziej oponowali Chivas i Alendil. Pochodzili oni z ubogich rodzin i pierwszy raz w życiu mieli w zasięgu ręki prawdziwą fortunę. Dla pozostałych udział w skarbie był tylko środkiem do osiągnięcia innych celów. Lecz mimo to rozbicie korony byłoby dla nich równie bolesne. Patrzyli niezdecydowani jeden na drugiego. Mogli zadowolić się tym co zdobyli a starczyłoby to na kilka lat gnuśnego życia w karczmach. Mogli też zaryzykować całą zdobytą fortunę i wkroczyć do zamku. Ale czy były tam jakieś skarby. Może ten zamek to pułapka na ich dusze zastawiona przez demony przybyłe z jakichś mrocznych otchłani. A co będzie jeśli wywiąże się walka a przeciwnik okaże się silniejszy. Ale czyż nie dla takiego życia porzucili swe spokojne zajęcia zmęczeni nudą codzienności. Rozwiązanie zagadki tajemniczego zamku czy fortuna. Wybór był zaiste trudny.

- Mam przecucie, że nie będziemy tego żałować - rzekł Paladyn kładąc jednocześnie obręcz na kamieniu. Patrzyli zafascynowani, niezdolni wykonać najmniejszego ruchu. Paladyn wyciągnął miecz. Wstrzymali oddechy, gdy rękojeść uderzyła w obręcz. I stało się coś dziwnego. Obręcz znikła. Na trawie leżały porzrucane złote listki. Słońce, które od dłuższego czasu chyżo opuszczało się w dół, aż poczerwieniało z wysiłku. Zasłoniło się więc jakąś zabłąkaną chmurką i wkrótce znikło za ostrymi szczytami gór. Nigdy nie dowiedziało się, że diamentowa obręcz była tylko wspaniałą iluzją.

ROZDZIAŁ IV

Po mroźnej wiosennej nocy nastał ponury i szary dzień. Wyraźnie się ociepliło, ale niskie, postrzępione obłoki, pchane porywistymi podmuchami, niosły drobną, dokuczliwą, marznącą mżawkę. Wysokie mury zamku niewiele chroniły przed nieprzyjemnym wiatrem. Na tle szarego nieba wydawały się dziwnie nierealne i wywoływały w sercach awanturników nerwowy, nieokreślony niepokój. Być może było to tylko podniecenie przed wkroczeniem w nieznane mury. Bowiem poprzedniego dnia odkryli sposób otworzenia bramy, ale w zapadającym zmroku nie odważyli się wejść przez nią. Nocowali pod osłoną namiotu rozbitego przy posągu smoka. Wystawili podwójne warty mimo, że jak do tej pory, zamek wydawał się całkiem opuszczony. Noc minęła całkiem spokojnie dając pożądane wytchnienie po przeżyciach ostatniego dnia. Niestety psująca się pogoda nie poprawiła ich humorów. Siedzieli pod murem kuląc się z zimna i szczękając zębami gdy obejmował ich mroźny oddech wiatru. Jak na złość nie było tu nic z czego można by rozpalić ogień. Przeżuwali więc lodowate kawałki swych żelaznych porcji. Nie było nawet czym popić, gdyż woda całkiem zamarzła. Jakoś nikt nie miał ochoty na rozmowy. Alendil, pierwszy spakował niedojedzony posiłek do sakwy tłumacząc się brakiem apetytu. Pozostali szybko poszli w jego ślady. Wkrótce stali przed bramą kuląc się pod uderzeniami szkwałów i uspokajając konie, które nerwowo szarpały uzdy. Mżawka zamieniła się w drobny, mokry śnieg. Paladyn trzymał kureczowo w zbiegających z zimna palcach złotą blaszkę. Dziś wydawała się ona szara i bezwartościowa. Drżącymi z zimna a może i z podniecenia rękoma usiłował wepchnąć ją w wąską szparkę w bramie. Lecz blaszka ślizgała się w skostniałych palcach a oczy zalepiały mu śnieg przy każdym uderzeniu wiatru. Po kilku niecierpliwych próbach blaszka zagłębiła się wreszcie w otworze. Cichy szczęk zamka zagłuszyło wycie coraz silniejszego wiatru. Brama drgnęła nieznacznie i pchnięta mocarnymi ramionami otworzyła się niechętnie. Ich oczom ukazał się obszerny dziedziniec. Był całkiem pusty jeśli nie liczyć śniegu, który zaczynał pokrywać go białym kobiercem. Ostrożnie weszli do środka. Mury od środka wydawały się jeszcze wyższe a niezliczone wieżyczki wznosiły się teraz przed nimi tak wysoko, że ginęły w kłębiącym się śnieżnym tumanie. Rozglądając się czujnie ruszyli w kierunku ogromnych wież widocznych po drugiej stronie dziedzińca. Mijali właśnie jego środek, gdy z tyłu dobiegł ich głuchy łomot kojarzący się z odgłosem zamykania sarkofagu potężną płytą. Czyjś koń zarżał nerwowo. Obrócili się jak na komendę a ich twarze lekko zbladły gdy ujrzeli zatrzaśniętą bramę zamku. Czy uczynił to wiatr, czy też wpadli w pułapkę?

- Co by to nie było, idźmy dalej - Paladyn z trudem przekrzykiwał zamieć. Ruszyli za nim trzymając w jednej ręce broń a drugą ciągnąc za uzdy niespokojne konie. Z trudem pokonując napór

wichury, dobrnęli do wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Wyrity wizerunek smoka przypominał tego wyrętego na bramie. Bez trudu znaleźli wąską szparkę. Kolejny listek z korony okazał się kluczem i po chwili jedno ze skrzydeł otworzyło się lekko. Zbyt lekko. Ale może to tylko była wina wiatru, który rozszalał się w prawdziwie zimową zamięć i nie czekając na zaproszenie pierwszy wcisnął się przez próg. Wyglądał na to, że zima toczy z wiosną ostatni tego roku bój rzucając do samobójczego ataku resztki swych hufców, aby choć na moment przedłużyć swe panowanie. Drużyna zupełnie nie interesując się wynikiem bitwy z wielką ulgą umknęła z pola walki wchodząc do środka. Chivas, z wielkim wysiłkiem zatrzaskał wrota zamku przed zamięcią. Wykazał się przy tym całym swym krasnoludzkim uporem, gdyż nieustępliwy wiatr do ostatniej chwili ciskał w uciekinierów tumany śniegu. Teraz opadały opadały sennie tworząc biały dywan. Ryk wichury, słyszany teraz przez grube drzwi, przypominał mruczenie kota. W tym czasie Ingram wyciągnął z jednej ze swych licznych kieszeni niewielkie, pięknie zdobione puzderko. Trzymając je niepewnie w zgrabiących dłoniach otworzył przykrywkę i wymówił słowo zaklęcia. Ciepły, przyjazny blask magicznego światła rozświetlił pomieszczenie w którym się znaleźli. Od razu zrobiło się jakoś cieplej i przytulniej. Rozglądali się wokoło a ich marznące oddechy wyczarowywały girlandy fantastycznych kwiatów na gołych, marmurowych ścianach. Podkowy koni wydzwaniały dźwięcznie o posadzkę. Taką to muzyką i kwiatami zamek witał przybyszy.

KONIEC